

– Następnego dnia po moim przylocie na lotnisku w Resolute Bay w Arktyce wylądowali nasi polarnicy, zabrani z bieguna samolotem. Tylko dotknęli ziemi, wręczyłem im list gratulacyjny od ambasadora RP w Kanadzie, Tadeusza Diema oraz wygraną przez nich... butelkę. Zaraz pod skrzydłem strzelił korek... i Marek radośnie oblał szampanem swojego partnera. Wypiliśmy za ich zwycięstwo i szczęśliwy powrót...

W bazie na lotnisku, reporter zabrał się do roboty, przeprowadził obszerny wywiad z polarnikami oraz zrobił pokaźną liczbę zdjęć. Czego tylko brakowało w kadrze, to białej zamarznętej przestrzeni. Tu jednak los się do niego uśmiechnął. Polarnicy zaprosili go na wspólny lot na biegun... magnetyczny. Tam po wylądowaniu na zamarznętym oceanie dorobił kilkanaście ujęć w arktycznym plenerze. Po powrocie do bazy w Resolute Bay, spakował zaraz swoje bagaże i udał się na lotnisko, aby „złapać” jakiś samolot do Ottawy. Kursowy samolot do stolicy Kanady odlatywał dopiero za trzy dni, ale za godzinę startował transportowy boeing do Montrealu. Odnalazł pilota i prosząc dogadał się, że go w drodze wyjątku, zabierze. Z Montrealu w nocy odebrał go przyjaciel, Czarek Stelmaszewski. Dojechali do Ottawy. Tutaj – wywołanie zdjęć, robienie odbitek i... ponownie jazda 180 kilometrów do Montrealu, tym razem na samolot PLL LOT do Warszawy. I znowu – odnalezienie pilota, wręczenie mu odbitek zdjęć polarników, telefon do redakcji... Polscy polarnicy byli jeszcze w Arktyce, a już w „Ekspresie Wieczornym” w Warszawie ukazał się pierwszy w Polsce obszerny materiał z licznymi zdjęciami ze zdobycia przez Marka Kamińskiego i Wojtkę Moskała bieguna północnego.

– Kiedy patrzę jakie są dzisiaj ułatwienia w pracy dziennikarskiej: komputery, aparaty fotograficzne digital, łącza satelitarne, telefony komórkowe, przesyłanie zdjęć przez Internet... to wtedy, aby być pierwszym, i zdążyć przed telewizją (Tomasz Lis, który był wówczas korespondentem TV w Waszyngtonie, nadał relację w dwa dni po ukazaniu się obszernego materiału w „Ekspresie Wieczornym”), to przyznam, że trzeba było się zdrowo naganiać – mówi Staszek.

Dzisiaj Stolarczyk się z tego śmieje, ale nie ma co tu ukrywać, był to jego wielki osobisty sukces, którego mógłby mu pozazdrościć każdy dziennikarz! Zresztą jako reporter bywa tam, gdzie naprawdę coś ważnego się dzieje, a to zaległe spotkanie Jana Pawła II z Indianami i Inuitami, a to obsługiwanie pierwszej wizyty ówczesnego prezydenta RP, Lecha Wałęsy, w Kanadzie, a to oficjalne uroczystości w Jedwabnem w Polsce, czy przejazd jeepami przez Pustynię Solną w Boliwii...

xxx

W swych poszukiwaniach polskich śladów w Kanadzie Stanisław Stolarczyk dotarł do Północno-Zachodnich Terytoriów (które są 13. krotnie większe od Polski) i tu w archiwach dogrzebał się siedmiu polskich nazw, ale to mu nie wystarczyło. Szedł tropami przyjaźni wybitnego polskiego podróżnika, Pawła Edmunda Strzeleckiego i jego związków do słynną tragiczną wyprawą Johna Franklina w Arktyce. Dlaczego? Bo okazało się, że gdy statek wiozący wielkiego podróżnika i jego załogę zaginął w lodach polarnych w 1840 roku, Strzelecki był jednym ze sponsorów wyprawy poszukiwawczej. Szperając w archiwach Staszek odkrył, iż jedna z arktycznych przystani Kanady nosi nazwę „Strzelecki”.

W jego książce: „Gdzie stopy nasze” odnajdujemy smak tych podróży do rozrzuconych po całej niemal Kanadzie miejscowości o polskich nazwach. Zachwylił mnie zwłaszcza rozdział: „Otoczona wodami Columbi”. Otóż w dzikich i zaladzonych górach Selkirk w Górach Skalistych Kolumbii Brytyjskiej Stanisław Stolarczyk, jako rasowy reporter, spenetrował okolice Mountain Warsaw, a więc masywu górskiego Warszawa, pokonując wszelkie przeszkody, wiodące do tej mało dostępnej partii potężnego łańcucha gór. A oto jaki widok na szczyt wyłonił mu się, gdy niemal w ćwierć wieku po Rafale Malczewskim, znanym malarzu i pisarzu, synu wielkiego Jacka, wędrował jego śladami. Cytuję: